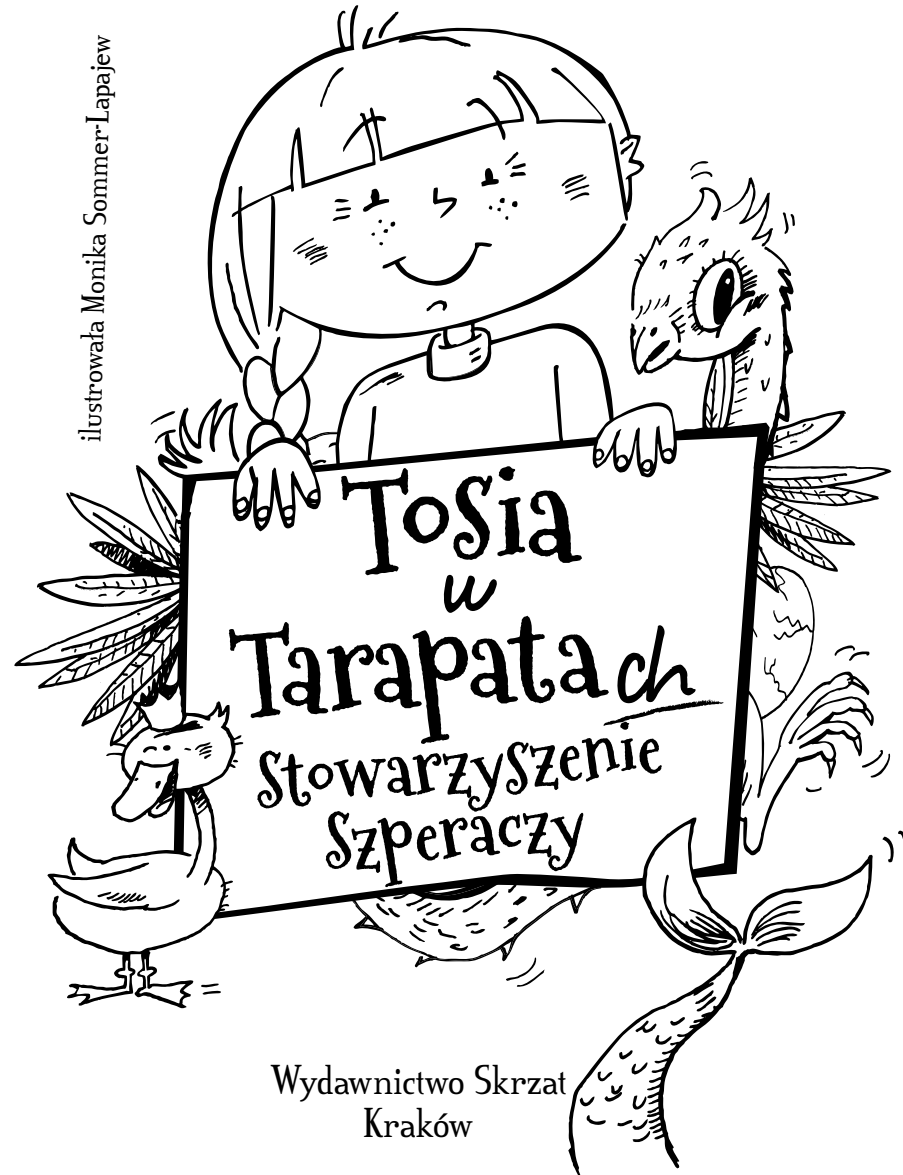


Tosia  
w  
Tarapatach  
Stowarzyszenie  
Szperaczy



Paweł Maj

ilustrowała Monika Sommer-Lapajew



Wydawnictwo Skrzat  
Kraków

Aniu... po prostu bądź  
(ta da da da dam)

# Prolog

Odgłos końskich kopyt roznosił się po uliczkach warszawskiego Starego Miasta. Podkowy stukwały o bruk, wprawiając w drżenie stragany stojące wzdłuż ruchliwej ulicy. Głosy jeźdźców torujących sobie drogę w tłumie wznosiły się ponad gwar rozmów. Mieszczanie rozstępowali się niczym fale, aby już po chwili wrócić do oglądania wystawionych produktów. A było tego co niemiara, bo targ odbywający się w Warszawie w każdy pierwszy piątek miesiąca należał do największych na Mazowszu. W te dni stolica zapełniała się przyjezdnymi z najdalszych krańców województwa.

Porozkładane wzdłuż ulicy Piekarskiej kramy wypełnione były po brzegi świeżym chlebem, preclami

i rogalami. Na Rycerskiej, wśród stukotu młotów o kowadła, płatnerze wystawiali swoje wytwory: piękne i lśniące zbroje, tarcze oraz miecze. Tuż za nimi, przy Piwnej, bednarze zachwalali wykonane przez siebie beczki, a kramarze częstowali przybyłych napitkiem, zapraszając na kufel mocno spienionego piwa lub prawie czarnego podpiwku. Aż po rynek Starego Miasta rozciągały się stragany z barwnymi tkaninami, kramy ze świeżymi rybami złowionymi w Wiśle jeszcze przed świtem, stoiska pełne różnokolorowych paciorków, kamyków i muszli oraz budy wypełnione po brzegi glinianymi misami, dzbanami i wazonami. Wzdłuż ulicy Zapiecek karczmarze oferowali pysznie pachnące posiłki i wygodne noclegi, przyciągając zmęczonych drogą kupców. Sam rynek jak zawsze zajmowały stoiska najbardziej utalentowanych rzemieślników: złotników, zdunów, szewców i snycerzy.

Uliczny gwar docierał również do znajdującej się tuż przy rynku ulicy Krzywe Koło, przy której handlowali rymarze, kowale i kołodzieje. Donośne głosy przedzierały się przez grube ceglane mury kamienic, dochodząc do głębokich piwnic. Przez nie zaś, wąskimi szczelinami, wpadały do starych kanałów, które

połączone siecią tuneli tworzyły podziemny labirynt Warszawy. Pomieszkujące w nim szczury już zacierały łapki na myśl o resztkach z targowiska, które z nastaniem nocy uda się im spałaszować. Ich popiskiwanie niosło się echem w plątaninie przejść i zatrzymywało w ślepych zaułku jednego z korytarzy. Tam, wraz z dochodzącym przez sklepienie stukotem kopyt, nawoływaniem ludzi, rżeniem koni i pobrzękiwaniem metalu, sprawiło, że śpiąca od lat istota otworzyła oczy.

Przez hałas panujący na targowisku przedarł się potworny dźwięk przypominający jednocześnie wrzask małego dziecka, pianie koguta i syk węża.

Przebudził się bazyliszek.

\* \* \*

Potwór nocami wychodził ze swej kryjówki na zer. Pojawiał się w różnych częściach Starego Miasta, a jego obecność znaczyły porzucane resztki zwierząt, które upolował. Najczęściej ofiarą maskary padał drób, ale w miarę jak narastał w niej głód, mieszkańcy stolicy zaczęli natrafiać na nadjedzone świnie i kozy. Większe zwierzęta zaś, takie jak krowy czy konie, odnajdowali zamienione w kamień. Wkrótce po Warszawie zaczęły

krążyć historie o grasującym bazyliuszku. Ludziska gadałi, że ten stwór obraca ofiarę w kamień spojrzeniem swoich złotych, paciorkowatych oczu. Niektórzy co rano słyszeli dochodzące z Krzywego Koła pianie koguta, inni zaś widywali na ziemi ślady przypominające te zostawiane przez węża. Przy zmasakrowanych zwierzętach znajdowano też głębokie wyłobienia w podłożu zrobione ostrymi szponami potwora. Błady strach padł na Warszawę, bo straszycło coraz odważniej grasowało po śpiącym mieście, zapuszczając się z nocy na noc w dalsze obszary Starówki. Wkrótce też doszło do pierwszych ataków na ludzi.

Bezsilne władze uchwałyły dekryty nakazujące po zostanie po zmroku w domach, podwajały patrole gwardzistów na ulicach Starego Miasta, a nawet wydały list gończy z obietnicą ogromnej nagrody dla śmiałka, który ubije prześladowającego miasto bazyliuszka.

Możliwość zarobku przyciągnęła oszustów i cwaniaków, którzy, znosząc do ratusza kogucie i jaszczurcze głowy, domagali się sowitych wypłat. Po ulicach grasowały bandy szukające raczej awantury z mieszkańcami stolicy niż tajemniczego potwora. Miejskie targowisko wypełniło się mnóstwem szarlatanów,

którzy na szybko skleconych stoiskach ofiarowali magiczne amulety, talizmany i napoje chroniące przed morderczym wzrokiem. Niestety, jedynym następstwem tych działań były coraz częściej odnajdywane przez gwardzistów ludzkie posągi.

Zamienionych w kamień nie dało się ożywić.

Najwięcej ofiar znajdowano w pobliżu Krzywego Koła, stwierdzono więc, że gdzieś tam potworna bestia musi mieć swoje legowisko. Zorganizowano kilka wypraw do piwnic mieszczących się przy tej ulicy, lecz nie były one udane. Albo ochotnicy wracali, nie spotkawszy żadnych śladów bazyliuszka, albo... nie wracali w ogóle.



\* \* \*

– Wzrok tego potwora zamienia w kamień! – krzyknęła przerażona Hanka. – Nie możesz tam iść!

– Nie zamierzam wcale na niego patrzeć! Od trzech nocy nie robię nic innego, tylko kuję i poleruję. Spójrz! – odezwał się potężnie zbudowany mężczyzna, ściągając płachtę, która przykrywała znajdujący się za nim przedmiot.

Była to oparta o ścianę tarcza. Cały jej przód pokrywały lśniące jak szkło płytki. Przylegające do siebie niczym łuski ryby tworzyły gładką, lśniącą powierzchnię. W dokładnie wypolerowanej tarczy można się było przejrzeć niczym w najlepszym lustrze.

Mężczyzna chwycił swoje dzieło i obrócił do żony drugą stroną, pokazując, że we wnętrzu również, choć nieco gorzej, odbija się obraz.

– Nie spojrzę mu w oczy. Nie bezpośrednio. Będę widział jego odbicie za plecami, gdyby chciał mnie zaskoczyć. A jeśli podejdziesz do mnie z przodu, ujrzy sam siebie i zamieni się w kamień. – To mówiąc, chwycił leżący na stole miecz i wsadził go do przypiętej do boku pochwy. – Nie martw się, moja droga. Nic mi nie będzie. Wrócę, nim nastanie świt.

Hanka spojrzała mężowi prosto w oczy i rzuciła mu się na szyję, wiedząc, że nic nie zmieni już podjętej przez niego decyzji.

Maciej Spiż – doskonały płatnerz – ucałował żonę, zarzucił na plecy skórzaną sakwę i z tarczą w ręku podążył w kierunku Krzywego Koła.

Wszedł do opustoszałej kamienicy i ruszył w stronę stromych kamiennych schodów prowadzących do piwnic. Uważnie nasłuchiwał najdrobniejszego szmeru, pisku czy skrzypnięcia, rozglądając się dokoła i przyświecając sobie trzymaną w ręku pochodnią. W znajdujących się pod ulicą spiżarniach zalegała tylko cisza. I kurz.

Maciej obszedł wszystkie pomieszczenia, lecz nic nie znalazł. Zupełnie tak jak jego poprzednicy.

„Tutaj musi coś być... Przecież zaginieni nie zapadli się pod ziemię” – pomyślał, omiatając wzrokiem ściany.

Wtem zatrzymał się, patrząc uważnie na podłogę oświetlaną blaskiem pochodni. Od miejsca, w którym stał, w stronę wyjścia z piwnicy, a także dalej w głąb pomieszczenia, na pokrytej kurzem posadzce ciągnął się ślad. Wyglądało to, jakby ktoś próbował przesunąć

skrzynię lub spory wór z mąką, wycierając przy każdym ruchu zalegający na niej pył.

Płatnerz podniósł wyżej tarczę, gotowy momentalnie zasłonić głowę i schować oczy przed zamieniającym w kamień spojrzeniem bazyliuszka. Wyciągnął przed siebie płonącą pochodnię i ruszył w głąb pomieszczenia, podążając za śladem na podłodze. Po kilkudziesięciu krokach dotarł do miejsca, gdzie trop się urywał. Przejście zagradzała ceglana ściana.

Już miał zawrócić zrezygnowany, gdy płomień pochodni drgnął. Po chwili poruszył się raz jeszcze, a Maciej, mimo że znajdował się pod ziemią, poczuł na twarzy lekki podmuch powietrza dolatującego ze ściany naprzeciwko. Położył pochodnię na ziemi, po czym wolną dłonią ostrożnie przesunął po ceglany murze. W pewnym momencie jego ręka straciła oparcie. Mur gwałtownie zakręcał, tworząc bardzo wąski korytarz. Tak wąski, że stojąc przed nim, wręcz się go nie dostrzegało. Za załomem płatnerz ponownie zobaczył wijącą się na podłodze smugę oraz drobne schody prowadzące jeszcze głębiej w podziemia.

Maciej Spiż podniósł pochodnię i powoli ruszył na dół.

Wąskie schody kończyły się w niewielkim pomieszczeniu. W jego rogu leżała niedbale porzucona sterta różnych elementów zbroi, hełmy i tarcze. Maciej podszedł do nich, stwierdzając ze zdziwieniem, że rozpoznaje w części tych przedmiotów własną robotę, i oceniając, że nie leżą pod ziemią dłużej niż tydzień. Westchnął i ruszył w kierunku widniejącego kilka metrów dalej wejścia, najwyraźniej prowadzącego w głąb podziemi.

Wsunął się w wąską szczelinę między ścianami i ostrożnie schodził kolejnymi stromymi schodami. Po kilkunastu stopniach zaczął iść bokiem, niosąc tarczę w górze, bo przejście jeszcze bardziej się zwężało. Podążając w dół, wiedział już, dlaczego wcześniej nie wszedł do tej komnaty





wypełniał rynsztunek. Mężczyzna w napierśniku lub pełnym hełmie nie zdołałby się tędy precyzyjnie przesuwać. Na wysokości klatki piersiowej Maciej zauważył szeregi długich wyźłobień w kamiennych murach. Gdy przyłożył do nich dłoń, przeraził się, wyobrażając sobie długość pazurów stworzenia, które je pozostawiło.

Po chwili usłyszał dolatujące z dołu ciche ciurkanie, a gdy schody nagle się skończyły, jego stopa natrafiła na kamienną posadzkę pokrytą wodą. Mężczyzna skulił się za tarczą i wysunął przed siebie pochodnię. Oświetlając pomieszczenie, rozglądał się ostrożnie na boki. Jego oczom ukazał się długi kamienny korytarz ginący w mroku, prawdopodobnie poprzecinany wieloma mniejszymi, odchodzącymi od niego tunelami. Podłoga była mokra od wody ściekającej z niewielkich pęknięć w suficie.

Płatnerz ruszył przed siebie, stąpając i rozglądając się ostrożnie, by nie zdradzić pluskaniem swojej obecności w tunelach. Pochodnia powoli się wypalała – światła mogło mu starczyć najwyżej na godzinę. Musiał się spieszyć.

Tak jak przewidywał, główny tunel przecinały mniejsze odnogi. Nie miał najmniejszych szans w pojedynkę

przeczesać całego labiryntu. Zdecydował, że powróci tutaj następnej nocy. I wtedy usłyszał cichy syk dobiegający z odgałęzienia, które przed chwilą opuścił. Przygarbił się momentalnie i zerknął w odbicie w wewnętrznej stronie tarczy. Dogasający płomień nie dawał już tak dużo światła, jednak Maciej Spiż mógł dostrzec znajdującą się za jego plecami poczwara.

Najpierw zauważył dwa błyszczące, niemal płonące na złoto punkciki. Zbliżały się do niego powoli. Z ciemności wyłoniła się głowa lśniąca od panującej pod ziemią wilgoci. Na pokrytej łuską paszczy ogromnego węża błyszcząły osadzone blisko siebie oczy z pionowymi czarnymi źrenicami. Pomiędzy nimi wyrastał potężny, lekko zakrzywiony pomarańczowy dziób z mnóstwem malutkich, ale ostrych jak igły zębów i rozdwojonym czerwonym językiem, poruszającym się w przód i w tył. Syczenie wypełniło całe wnętrze. Łeb przechodził w grube, w całości pokryte niebiesko-zielonymi płytkami cielsko z ogonem zakończonym niebiesko-czerwonym pióropuszem. Stworzenie podążało w stronę Macieja Spiża, wspierając się na dwóch łapach, które naprzemiennie podciągały do przodu węzowe cielsko, rozchlapując

płytką kałużę i złościąc rysy w kamiennej podłodze piwnicy.

Płatnerz rzucił pochodnię przed siebie, w jedyne jego zdaniem suche miejsce, i sięgnął po wiszący u pasa miecz. Zastygł po tym w bezruchu, ścisnął mocno głownię i czekał, aż bazyliszek znajdzie się w zasięgu broni. Słyszał szuranie pazurów na mokrej posadzce.



Odgłos ocierającego się o kamienie ogona przyprawił go o mdłości. Syczenie gadziego języka wwiercało się w głęb czaszki. Pisk, który gwałtownie wydobył się z gardzieli bestii, niemalże zatrzymał bicie jego serca, sprawiając, że cała odwaga w jednej sekundzie niemalże z niego wyparowała. Kiedy najeżony ostrymi zębami dziób zbliżył się na tyle blisko, że niemal czuł łaskotanie rozdwojonego języka na karku, Maciej zamknął mocno oczy i wstrzymał oddech. Wiedział, że nie znajdzie w sobie dość siły, aby pokonać potwora. Przez głowę zaczęły mu przelatywać wspomnienia całego życia. Nagle, w niespodziewanym przyplýwie mocy, obrócił się i ciął potężnie mieczem.

Usłyszał straszny pisk, potem plusk, a następnie kilkukrotne uderzenia węzowego cielska o ścianę. Czekał, bojąc się otworzyć oczy nawet na sekundę. W końcu uniósł powieki. Trzęsąc się na całym ciele i nie podnosząc wzroku znad lśniącej tarczy, skierował się najpierw ku ledwie majaczącej w oddali pochodni. Skulony za tarczą, zdarł z siebie koszulę i owinął jej strzępy wokół wypalającego się łuczywa. Płomień przybrał na sile i rozjaśnił korytarze. Dopiero teraz płatnerz zobaczył, że ostrze jego miecza pokrywa